

Flâneurka schodzi do piekła – *Kroniki wojenne 1939–1944 Aurelii Wyleżyńskiej*

KATARZYNA NADANA-SOKOŁOWSKA

ORCID: 0000-0003-4207-414X

(Instytut Badań Literackich PAN, Warszawa)

RECENZJA KSIĄŻKI: AURELIA WYLEŻYŃSKA, *KRONIKI WOJENNE*, T. 1: 1939–1942, T. 2: 1943–1944, W OPRAC. GRAŻYNY PAWLAK I MARCINA URYNOWICZA, PAŃSTWOWY INSTYTUT WYDAWNICZY, WARSZAWA 2022, T. 1, SS. 695, T. 2, SS. 533

Aurelia Wyleżyńska (1881–3.08.1944), jak sugerują pierwsze zdania jej opublikowanych w 2022 roku *Kronik wojennych*¹, była diarystką, jeszcze zanim rozpoczęła świadome opisywanie życia okupowanej Warszawy. Około połowy sierpnia 1939 roku, deklarując wciąż wiarę w powstrzymanie niepowstrzymanego, wyjechała na urlop do Horodnicy nad Dniestrem. Pierwsze wpisy opublikowanego dziennika powstały właśnie tam, ale już 3 września podjęła decyzję o powrocie do Warszawy. Do mieszkania wynajmowanego na Karowej dotarła 8 września – podróżując niemal pustymi pociągami dokładnie pod prąd dramatycznych migracji tego okresu.

Postanowienie Wyleżyńskiej – „samotnej literatki” (jak często siebie samą określa) u progu sześćdziesiątki – trzeba rozumieć jako decyzję egzystencjalną, podobną do decyzji Zofii Nałkowskiej, która, opuściwszy Warszawę w kierunku południowo-wschodnim razem z innymi uciekinierami, wróciła do niej w pierwszych dniach października. Obie pisarki świadomie postanowią dzielić losy mieszkańców miasta i dawać im świadectwo. W ten sposób stworzą niezwykle dokumenty okupacji i zarazem przejmujące dzienniki osobiste. Dziennik wojenny Nałkowskiej znamy od lat siedemdziesiątych XX wieku, ten Wyleżyńskiej – znacznie obszer-

1 Dalej w tekście jako KW. Zob. też: M. Urynowicz, G. Pawlak, *Wstęp*, w: KW, t. 1, s. 13–64; T. Szarota, *Pochwała godnej podziwu edycji i kilka uzupełnień do jej wstępu*, w: KW, t. 1, s. 9–10.

niejszy, charakterem zdecydowanie mocniej ciążyący ku kronice – ukazał się dopiero teraz.

Opracowywanie wydanych w Państwowym Instytucie Wydawniczym dwóch jego ogromnych tomów było zadaniem wyjątkowo trudnym, co we *Wstępie* przyznali edytorzy – Grażyna Pawlak (Instytut Badań Literackich PAN) i Marcin Urynowicz (Instytut Pamięci Narodowej). To jednocześnie spełnienie testamentu autorki, o którym wspomniała w dzienniku na początku kwietnia 1943 roku, jakby do reszty tracąc wiarę, że uda jej się dotrzeć do końca wojny, lub może tylko zyskując coraz głębszą świadomość znaczenia ogromniejącego z miesiąca na miesiąc dokumentu. Wiedziała również, że jeśli w ogóle przetrwa on wojnę i zyska szansę publikacji, będzie narażony na zakusy cenzorów z wielu środowisk, choćby rodzinnego, i stanowczo wykluczyła jakiegokolwiek zmiany w tekście. Najwyższy szacunek należy się wobec tego staraniom edytorów o wydanie wszystkich odnalezionych fragmentów zapisków i opatrzenie ich przypisami dotyczącymi tysięcy wspomnianych tam osób i wydarzeń. Nie przez przypadek trzeba na to było czekać prawie osiemdziesiąt lat. Odpowiednie partie dziennika w kilku wersjach przynależały bowiem do zespołów archiwalnych kilku instytucji², zostały uszkodzone jeszcze w czasie wojny, a ich podstawa, mimo że pozostawiona w maszynopisie, nie była łatwa do ustalenia, chronologicznego uporządkowania i odczytania, jak przyznają edytorzy, zastrzegając możliwość popełnienia błędów w tym zakresie. Znaczne partie dziennika prawdopodobnie też zaginęły – uderza brak zapisków od końca kwietnia do grudnia 1940 roku.

Jak znów wyjaśniają edytorzy, udostępniony teraz szerokiej publiczności dokument był już częściowo znany specjalistom. Sięgnął po niego Tomasz Szarota jako autor *Okupowanej Warszawy dnia powszedniego* (pierwsze wyd. 1973), a jeszcze w latach sześćdziesiątych poznali je – i opublikowali fragmenty – badacze z Żydowskiego Instytutu Historycznego. Szerzej znany naukowcom stał się jednak dopiero pod koniec lat dziewięćdziesiątych XX wieku; wzbudził zainteresowanie zwłaszcza wśród historyków Zagłady, ale też literaturoznawców. Dokument jest rzeczywiście bezcenny z punktu widzenia historyków, ponieważ składają się nań przede wszystkim opisy codzienności okupowanego miasta, które dzięki dziennikarskiemu warsztatowi autorki, a także jej odwadze są – choć z konieczności fragmentaryczne – na swój sposób metodyczne i wyjątkowo bogate w szczegóły³.

2 Obecnie są przechowywane w Dziale Rękopisów Biblioteki Narodowej w Warszawie i warszawskim Archiwum Akt Nowych oraz Narodowym Zakładzie im. Ossolińskich (Ossolineum) we Wrocławiu (por. *Wstęp*, w: KW, t. 1, s. 3–41).

3 Opublikowane w 2022 r. recenzje *Kronik wojennych* podkreślają tę właśnie perspektywę, zob. np.: K. Masłoń, „*Kroniki wojenne*” wreszcie wydane, „*Historia Do Rzeczy*” 2022, nr 5, s. 64–67; R. Jaśkowski, *Dziennik totalny*, „*Więź*” 2022, nr 4, s. 200–207; aspekt literaturoznawczo-edytorski porusza np.

Jeszcze w czasie oblężenia, nawykła do długich reporterskich spacerów z notatnikiem w rękę, Wyleżyńska, jak to sama opisuje, omal nie została rozstrzelana wskutek podejrzenia o szpiegowanie na rzecz Niemców. Aż do przypadkowej śmierci po wybuchu Powstania nie zaprzestanie podobnych wypraw na miasto, dzięki którym opíše nie tylko jego stopniowe podupadanie pod względem cywilizacyjnym, ale także wygląd mieszkańców pogrążających się w coraz głębszej nędzy, głodzie i depresji. Pochwyci setki charakterystycznych dla tego okresu scenek rodzajowych na ulicach, w miejscach publicznych (często zaskakujących czytelnika, jak na przykład regularnie przez nią odwiedzany ośrodek metodystów przy Mokotowskiej 12) i przestrzeniach prywatnych; tysiące przeprowadzonych przez siebie rozmów lub jedynie posłyszanych dialogów, komunikatów radiowych i prasowych, pogłosek, plotek, a nawet dowcipów. Przeanalizuje także formy nowej gospodarki wojennej: związane z nią absurdy, moralne zagrożenia i swoistą oddolną rewolucję społeczną. Wyleżyńska oprócz pasji dziennikarskiej przejawia właśnie pasję etyczną: nie tylko utrwała w swej kronice zachowania i wyrażenia, o których inni woleliby może z różnych względów zapomnieć, ale też na własną rękę zgłębia fenomen wojennej psychologii i mentalność ludzi, z którymi ma do czynienia.

Kroniki Wyleżyńskiej czytać niełatwo; trudniej moim zdaniem niż wiele innych dzienników wojennych. Opisane w nich szczegóły nie tylko przerażają. Surowy język – szcicie grubą igłą, nie haft, jak to określa autorka (KW, t. I, s. 354) – a zwłaszcza dziennikowa „forma bez formy” (termin Michała Głowińskiego dla oddania poetyki dziennika wyjątkowo się tu sprawdza) przytłaczają. To dzieło niemal znuży, jeśli sięgnąć po nie bez zamiaru skupienia się na wybranych wątkach. Wyleżyńska notuje, co się da, z – bardzo współczesnego – poczucia, że wszystko może kiedyś posłużyć jako materiał do pisania historii, zarówno niemieckich zbrodni, jak życia społecznego tego okresu. Z troską, współczuciem, przerażeniem, rozpaczą, surowością lub sarkazmem – zależnie od przypadku – komentuje wojenne postawy Polaków i losy Żydów oraz ich wzajemne relacje w tamtym czasie; rzadziej Niemców postrzeganych jako indywidualia, a nie wyłącznie anonimowa, wroga siła.

Kobieta o nietuzinkowym formacie intelektualnym – demokratka i laicka humanistka, niechętna nacjonalizmowi i narodowemu katolicyzmowi kosmopolitka oraz, jeżeli nie feministka, to przynajmniej „Nowa Kobieta” – tworzy z potrzeby rzetelności dokument nie tylko postępującej pauperyzacji miasta i ludzi, ale także – jak sama często osądza – upodlenia społeczeństwa i jego demoralizacji. Na własnym przykładzie obserwuje, jak powszednieją groza i zbrodnia, choć wciąż

Paweł Majewski w tekście *Kłopotliwy przekaz z przeszłości. O „Kronicach wojennych (1939–1944)” Aurelii Wyleżyńskiej*, <https://kulturalibera.pl/2022/06/28/pawel-majewski-recenzja-kroniki-wojenne-aurlia-wylezynska/>, stan z 26 listopada 2023 r.). W 2023 r. publikacja otrzymała wyróżnienia w konkursach: Książka Historyczna Roku oraz Nagroda Klio.

rejestruje nowe, niewyobrażalne dotąd formy prześladowań wobec Żydów i Polaków, a z nimi nowe lęki o przyszłość (ale raczej nie swoją). W nawiązaniu do powracających uwag o potrzebie nowej formy dla wyrażenia doświadczenia wojny, która sprostaby *Boskiej komedii* czy *Okropnościami wojny* Francisca Goi, na tworzony przez nią dokument można spojrzeć jak na reportaż ze schodzenia do kolejnych kręgów piekła. Wiele fragmentów tych zapisków uderza właśnie wizualnym szczegółem, odsyłającym do kategorii nie tylko makabry, lecz również groteski. Wrażliwość na tę ostatnią zbliża Wyleżyńską do autorki dziennika z warszawskiego getta, Racheli Auerbach.

Jeśli Wyleżyńska z jednej strony dokumentuje opresję i podłość – kolaborantów, szmalcowników, donosicieli, ale także często „postronnych świadków” (nawet dzieci!), zobojętniałych lub jawnie szyderczych wobec losu Żydów, a ponadto bezwzględnych dorobkiewiczów, kupczących usługami i żywnością, to z drugiej tworzy dokumentację form solidarności, oporu i udzielanej potrzebującym pomocy. Kroniki to wreszcie zapis jej własnego intensywnego zaangażowania w konkretne wsparcie dla innych, włącznie z ogromną pomocą osobom żydowskiego pochodzenia w ukrywaniu się po aryjskiej stronie. Duże wrażenie robią odpisy listów (do) jej znajomych z różnych gett, których starała się wspierać, jak długo mogła: paczkami z żywnością, asystą w operacjach handlowych i przechowywaniu mienia czy po prostu życzliwymi, świadczącymi o pamięci i trosce słowami. Trudno pojąć, skąd – sama nie najlepszego zdrowia – czerpała energię do tak intensywnego życia i odwagę cywilną do naruszania wszystkich możliwych niemieckich zakazów, poczynając od tego dotyczącego posiadania maszyny do pisania. Wśród form jej działalności były jeszcze przecież współpraca z podziemiem oraz na przykład regularne odwiedzanie szpitali, w których starała się wspierać chorych i umierających.

Wyleżyńska, która od czasu do czasu korzystała nawet z możliwości wzięcia swego rodzaju urlopu od grozy warszawskiej rzeczywistości, jakim bywały tygodnie spędzone we względnej „sielance” w majątku brata, Bohdana Wyleżyńskiego (1877–1962), czyli w Wielgolesie pod Mińskiem Mazowieckim, zapisuje oczywiście w dziennikach także swoją intymność. Jak wielokrotnie, niemal z poczuciem winy wyznaje, wojna daje jej odczuć własne uprzywilejowanie: może nieustannie liczyć właśnie na pomoc brata (którą jednak bardzo hojnie, jak wynika z zapisków, dzieliła się z innymi potrzebującymi). Dzięki znośnym warunkom materialnym może sporo czasu poświęcać zarówno na czytanie, jak i na pisanie – czy to o swoich lekturach, czy o przedwojennym życiu.

Cały ten niezwykle obfity i choćby z tej racji bezcenny materiał, teraz udostępniony, stanie się zapewne tematem wielu prac badawczych, których rezultatów nie silę się tutaj uprzedzić, podobnie jak nie czuję się kompetentna oceniać założeń

edytorskich i komentarzy do tekstu. Chciałabym natomiast wspomnieć o związanej z dziennikiem „kwestii kobiecej”.

Grażyna Pawlak poświęciła już wcześniej Aurelii Wyleżyńskiej artykuł biograficzny⁴, zaznajomiwszy się z nią jako pierwszą żoną Jana Parandowskiego, którego twórczością się zajmowała. Zwróciła w nim uwagę na jej ciekawą osobowość i losy. W swojej rodzinie pisarka była nieledwie „czarną owcą” (choć status ten dzieliła chyba z siostrą, tłumaczką Felicją Wyleżyńską, z którą zamieszkała podczas okupacji) – nawet w czasie wojny nie całkiem dobrze znosiła pobyty w Wielgolesie ze względu na zbyt ciasną dla niej mentalność jego mieszkańców. Z humanistycznym wykształceniem uniwersyteckim (Uniwersytet Jagielloński i Sorbona) czuła się przede wszystkim kobietą kultury. W trakcie przymusowego pobytu (wraz z innymi internowanymi obywatelami Austrii) w Rosji podczas pierwszej wojny światowej poznała w Saratowie młodszego od siebie o prawie piętnaście lat Parandowskiego i została jego żoną (było to już trzecie małżeństwo w jej życiu). Po rozstaniu z nim u progu 1924 roku wyjechała do Paryża, w którym spędziła następnie kilkanaście lat, prowadząc intensywną działalność kulturalną. Dopiero w 1937 roku osiedliła się w – nie lubianej przez siebie wtedy, jak przyznawała – Warszawie.

Do wszystkich tych etapów życia Wyleżyńska wraca w pamiętnikowych fragmentach dziennika, które spisuje w momentach mniejszej presji rzeczywistości. To na podstawie tych autorefleksyjnych passusów zaczynamy w niej dostrzegać kolejną niezwykłą, wyemancypowaną kobietę swoich czasów. Wyleżyńska przy tym nad wyraz świadomie wpisuje się w dzienniku w – nie tylko polskie – genealogie kobiece. Zbierając własną bibliografię artykułów i felietonów rozproszonych przede wszystkim po rozmaitych czasopiśmiech (w tym postępowych kobiecych, takich jak „Bluszcz”, „Kobieta Współczesna” czy „Świat Kobiecy”), wspomina prace, z których wciąż jest dumna: szkic poświęcony zapiskom intymnym Narcyzy Żmichowskiej czy eseje biograficzne o Zofii Węgierskiej i Marii Kalergis. Wszystkie one są dla pisarki wyraźnym punktem odniesienia, jeśli chodzi o wybór formy życia, ale szczególnie bliska jest jej Węgierska, ze względu na dziennikarską pracę w Paryżu. Jako egzystencjalna perspektywa pojawi się tu jednak nieoczekiwanie nawet Isadora Duncan, z której „modernizmem pocz[ątku] XX wieku. [...] duchową istotą [...] stosunkiem do życia i miłości [...]. *Exuberance* [fr. nadmiar] i potrzebą «wciąż czynienia czegoś zmiany»” także się utożsamia (KW, t. I, s. 722).

Wyleżyńska deklaruje wielokrotnie dumę z dokonanych wyborów życiowych i przebytej (kobiecej) drogi, która doprowadziła ją do okupowanej Warszawy. Nie żałuje swej „modernistyczności” oraz „wolnej miłości”, której chyba czuła się orę-

4 Zob. G. Pawlak, *Aurelia (Aura) Wyleżyńska – zapomniana pisarka i publicystka. Materiały do biografii*, „Pamiętnik Literacki” 2014, t. 105, z. 1.

downiczką. Z sentymentem wspomina własne utwory eseistyczne lub literackie, choćby *Marię Leszczyńską na dworze wersalskim* (1923) czy *Czarodziejskie miasto* (1928).

To w tym ostatnim tekście znajdziemy zaskakujący portret międzywojennej flâneurki, na którą pozuje jego bohaterka, szukająca we wrażeniach sensualnych, emocjonalnych i intelektualnych, jakich dostarcza Paryż, leku na doznany zawód życiowy, nie bez mimowolnego przyznania się do – charakterystycznej dla tej figury – melancholii. Ale jest także świadoma swojej nowo zdobytej siły:

» I pokochała siebie. Bo poznała rozkosze, jakie człowiek tylko z siebie czerpać może, bo tylko sam sobie dać je zdoła. [...] Ani wiary, ani entuzjazmu, ani sił do zdobycia się na ofiarę. Gorejące serce zgasło. Jej serce silne, pewne siebie, i świadome swej siły. Serce dumne, a przez to zwycięskie. Serce pyszne – skarb bezcenny⁵.

Umiejętność zagospodarowywania samotności pomaga też niezależności intelektualnej, jak zauważa Wyleżyńska w notce pisanej na progu wojny: „właśnie tak jest dobrze. Sama – więc myślę. [...] Indywidualne życie daje rozmach.” (KW, t. 1, s. 73, wpis z 28 sierpnia 1939 roku). Dokument, który stworzy, poświadcza te słowa: jeśli nawet nie będziemy czytać jej dzienników z zapartym tchem, jak okupacyjne zapiski Nałkowskiej, docenimy je za dziennikarską rzetelność, pasję moralną i dalekowzroczną rozumność.

W toku lektury poznamy także jej przedwojenny, a potem wojenny krąg znajomych i przyjaciół. Zwraca uwagę to, że należy do niego dużo osób żydowskiego pochodzenia: wśród nich zwłaszcza Zuzanna Rabska, Julia Dickstein-Wieleżyńska i Lucjan Korczewski, którzy zdecydują się na ukrywanie po aryjskiej stronie i których autorka będzie regularnie spotykać lub angażować się w niesienie im pomocy w różnych formach. Wyjątkowo ważną osobą jest też dla niej Karol Dresdner (ok. 1908–1943) – historyk literatury, krytyk i poeta, który zginie we lwowskim getcie.

Uporczywie powracający wątek tego ostatniego przyjaciela zasługuje moim zdaniem na szczególną uwagę, stanowiąc być może właściwy klucz do wrześnieowej decyzji autorki. Doktor Dresdner pojawia się bowiem już w pierwszych zdaniach dziennika. Wyleżyńska pod datą 10 sierpnia 1939 roku opisuje swoisty stan zakochania w Warszawie, jakiego dopiero co doświadczyła pod wpływem spacerów po mieście w jego towarzystwie. Zamierzali właśnie nakręcić dokumentalny film o stolicy i zbierali do niego materiał. Oprowadzającym, znawcą, wtajemniczającym był

5 A. Wyleżyńska, *Czarodziejskie miasto: powieść*, przedmowa R. Greya, Warszawa 1928, s. 54.

Dresdner. Można widzieć w tej nagłej miłości do miasta wyraźne, choć podświadome, przecucie czekającej go zagłady, straty osobistej i zbiorowej. Wyleżyńska dopiero u progu wojny staje się świadomie warszawianką. Może to dla pamięci spędzonych tutaj z Dresdnerem upojnych dni postanowiła wrócić do przeżywającego pierwsze naloty miasta. Cofnęła się spod rumuńskiej granicy, którą mogła łatwo przekroczyć niemal jako pierwsza.

W powrocie do miasta, które za pięć lat prawie zniknie z powierzchni ziemi, i przywiązaniu (ostatniej miłości?) do człowieka skazanego na Zagładę można się dopatrzeć przejawu popędu tanatycznego Wyleżyńskiej. Czytając jej dziennik, miałam nieledwie wrażenie, że wracała do Warszawy z pragnieniem przyspieszenia swej śmierci i odtąd bardzo świadomie wystawiała się na jej ryzyko.

Określając samą siebie w dzienniku często jako po prostu „starą”, Wyleżyńska – inaczej niż w tym czasie na przykład Zofia Nałkowska czy Maria Dąbrowska – nie pozwala sobie w wojennym epizodzie życia na erotyzm lub się do niego nie przyznaje. Wspominając nierzadko dawne miłości, zmysłowość i erotyczne podboje, świadomie nakazuje sobie raczej wkroczyć w epokę „post”. Może dla wytchnienia uciekać od piekielnej rzeczywistości w przeszłość, także aby podsumować własny los, ale przede wszystkim, nie wierząc w żadną dla siebie przyszłość, decyduje się żyć „tu i teraz”. Na jakimś poziomie uznając już swoją śmierć (jako kobiety?) za dokonaną, świadkuje życiu i śmierci innych oraz niesie pomoc tam, gdzie może i chce.

Decyduje się też pisać, ponieważ tworzenie stanowi esencję jej życia; to jemu się od dawna poświęcała. Traktuje je przez całą wojnę zarazem jako przyjęty na siebie świadomie kronikarski obowiązek, jak i jako swoisty luksus. Nie musi przecieć, jak tylu innych inteligentów w tym czasie, zmieniać zawodu na fizyczny i często poniżający, by zabiegać o elementarne biologiczne przetrwanie. Robi to, co umie najlepiej i lubi najbardziej, dzięki czemu czuje się potrzebna, o czym świadczy wiele fragmentów w dzienniku. „Cóż robić? Dalej prowadzić to samo życie, notowanie, kronikarskie zapisywanie faktów, które przemijają. Niech choć ślad z nich zostanie. Dokument dla przyszłości... Jeśli się nie dochowa lub nikt zeń nie skorzysta, trudno. Mam poczucie, iż spełniam swą skromną misję”, zapisuje na przykład 2 marca 1940 roku (KW, t. 1, s. 148), a 6 listopada 1943 napomina się: „Zabrać się do swojej roboty, znów powiedzieć: «Ty, nie dzieło, pójdziesz w grób». A choćby jedno i drugie miało pójść gdzie indziej, niech o tym nie myślę” (KW, t. 2, s. 342).

Wyleżyńska często w dzienniku podkreśla, że dokonuje życiowych wyborów samodzielnie, a nie pod naciskiem z zewnątrz narzuconych kategorii moralnych. Paryska flâneurka podczas okupacji zmienia się jednak coraz wyraźniej w Matkę Nieustającej Pomocy, gdyż nie umie, a raczej już nie chce, oddzielać od siebie tego,

co prywatne i zbiorowe, egoistyczne i altruistyczne. Paradoksem owego dziennika jest właśnie nawracająca konstatacja, że diarystka robi w trakcie wojny nie to, co musi czy powinna – lecz to, co chce i co sprawia jej przyjemność. Dotyczy to także prowadzenia zapisków. Notki te, przyjęte jako obowiązek dawania świadectwa, staną się – jak ma czasem nadzieję – i jej własnym pomnikiem: „Od Horacego do Puszkina, każdy pisarz sam sobie chce postawić pomnik. Wedle swej możliwości i swej miary. Moim pragnieniem jest wydać ten pamiętnik. Za życia lub po zgonie.” (KW, t. 2, s. 84, wpis z 7 kwietnia 1943 roku).

To pragnienie właśnie się urzeczywistniło. Aurelia Wyleżyńska, zapomniana przedwojenna pisarka, wraca w obieg czytelniczy jako kolejna autobiografka. Jej *Kroniki* stanowią dokument zbiorowy i osobisty, o którego istnieniu odtąd nie będzie można nie wiedzieć.